

**Wychodzi w każdą
Sobotę.**

Cena prenumeracyjna
w całej Austrii:
rocznie 8 zlr.—półrocznie
4 zlr.—kwartalnie 2 zlr.

w Niemczech:
rocznie 5 tal.—półrocznie
2 tal. 15 sgr. kwartalnie
1 tal. 8 sgr.

we Francji:
rocznie 21 fr.—półrocznie
11 fr.—kwartalnie 6 fr.

Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcja: Ulica
wałowa Nr. 19.

ŚWIT

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Główne agencje: we
Lwowie księgarnia Ka-
Wilda, w Krakowie
księgarnia J. Wilda, w
Poznaniu księgarnia J. K.
Zupańskiego.

Rękopisy nie przyjęte
do druku zwracają się w ra-
zie zażądania.

Szanownych autorów
inakładców, życzących so-
bie znaleźć w „Świcie”
wzmiankę lub rozbiór kry-
tyczny swych dzieł pro-
simy o nadsełanie Redak-
cji egzemplarzy takowych.

Treść: Ksiądz Hugo Kollataj i jego prześladowcy, szkic biograficzno-krytyczny przez Henryka Schmitta. (C. d.) — Cyd, według Romancero hiszpańskiego z przekładu Herdera, przez Władysława hr. Tarnowskiego (wiersz). (C. d.) — Kalejdoskop, obrazy czasów i ludzi, przez Berlicza Sasa. (C. d.) — O poezji XIX wieku w Polsce i we Francji, przez Wacława Gąsiora. (C. d.) — Z „Wieczornych pieśni” Witosława Halka, przez Władysława Bělę (wiersz). — O przywilejach i ceremoniach w świecie dyplomatycznym, przez dr. Gustawa Roszkowskiego. (C. d.) — Promyki. — Przegląd teatralny, przez Bronistawę Zawadzkiego. — Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

KSIĄDZ HUGO KOLŁATAJ

i jego prześladowcy,
szkic biograficzno-krytyczny

przez

HENRYKA SCHMITTA.

(Ciąg dalszy.)

III.

Przekształcając gimnazjum nowodworskie, starał się Kollataj równocześnie przygotowywać wszystko, co było potrzebnem do przedsięwzięcia zamierzonej przez komisję edukacyjną reformy akademii krakowskiej. Zbadał też bardzo dokładnie tak usposobienia samychże profesorów, jak również stan jej pod względem naukowym i ekonomicznym. Wyrozmiał przytem starszyzną akademicką, czy i w jakiej rozciągłości za uzyskanie potrzebnych od komisji edukacyjnej funduszków gotowa popierać zamierzony plan reformy. Wszystko to wyświecił najgruntowniej w swem sprawozdaniu, przedłożonem komisji i wskazał oraz sposoby wzięcia się do dzieła.

Mimo częściowego już wdrożenia myśli reformy akademii w samym Krakowie, było przeprowadzenie tejże z mnogimi połączone trudnościami. Komisja nie wątpiła wprawdzie, że Kollataj, który sam jej ofiarował usługi swe w tej sprawie trudnej i drażliwej, sprosta najzupełniej zadaniu, lecz uwzględniając wiek jego młody i nie dość jeszcze wybitne stanowisko w hierarchii społecznej, zamianowała osobną deputację, której powierzyła zreformowanie naprzód wydziału teologicznego a następnie reszty akademii. Na czele deputacji był Krzysztof Szembek, koadiutor biskupstwa płockiego, a do składu jej weszli ks. Józef Olechowski, archidyakon krakowski, Józef Bogucicki, profesor akademii i Kollataj. Duszą całej deputacji był Kollataj, a gdy dzięki jego staraniom udało się najpomyślniej zreformowanie wydziału teologicznego, udzieliła mu komisja edukacyjna pod koniec 1778 roku tytułu wizytatora akademii, upoważniła go do podjęcia w jej imieniu wszelkich czynności tego urzędu i przepisała obowiązki z nim połączone.

Teraz przystąpił Kollataj z całą sprężystością do bezwzględnego wykonania poruczonej mu pracy.

Zaprzął się też do niej z podziwieniem godnym zapałem, w którym nie ostygł i na chwilę nawet dwuletnich móżolów. Chcąc bowiem wszystko na pewnej budować podstawie, musiał naprzód całe uporządkować archiwum akademii, a potem przewertować je najzupełniej, aby poznać prawa, nadania i przywileje a oraz fundusze tej szkoły głównej. Zaprowadziwszy więc na razie niektóre mniej znaczne odmiany w sposobie i porządku wykładów akademickich a szczególnie na wydziale filozoficznym, rozdzielił całą pracę na trzy części. Naprzód zbadał bardzo dokładnie stan funduszków, jakimi może jeszcze rozrządzać akademiam, aby wykazać, ile komisja edukacyjna będzie musiała dodawać z innych źródeł na jej utrzymanie. Przystąpił potem do wyświecenia praw i przywilejów a oraz dziejów akademii, poczynając od jej założenia aż do chwili zamierzonej reformy. Po załatwieniu dopiero obu tych czynności ważnych ułożył gruntowny plan, w którym zestawił wszystkie odmiany, jakie poczynić wypadnie w naukach i osobach. Rozważając dziś bez uprzedzenia ogrom podjętej i wykonanej przez Kollataja w ciągu dwulecia pracy, trzeba rzeczywiście podziwiać żelazną jego wytrwałość a oraz zdolności, których przytem złożył dowody. Nieustraszone pracował dzień i noc prawie, odmawiając sobie wszelkiego wytchnienia, dokąd poruczonego nie dokonał dzieła. Gorąca jedynie miłość ojczyzny i to przekonanie, że w wszechstronnem tylko przekształceniu całego wychowania publicznego spoczywa nadzieja odrodzenia ojczyzny, mogły natchnąć do podjęcia się takiej pracy i dostarczać mu sił w jej dokonaniu, a szczególnie w łamaniu się z trudnościami, które spotykał na każdym kroku.

Wykazanie dokładne wszystkich funduszów akademii i wyczerpujące opracowanie jej 4-wiekowych dziejów, które były oraz dziejami rozwoju nauk i całego wychowania publicznego w Polsce, wymagały wprawdzie wiele mozół, lecz nie narażały przynajmniej pracownika na tysiączne nieprzyjemności i na odpowiedzialność. Trzecia jednakże część roboty, t. j. plan odmian w naukach i osobach była dlań najciernistszą, ponieważ narażała go z jednej strony na odpowiedzialność ciężką, jeżeli skutek pomyślny nie uwieńczy jego usiłowań, a z drugiej na narzekania i niechęć tych wszystkich, których albo musiał usunąć z posad, albo nie umieścić w gronie akademików. Wiedział o tem Kollataj, a mimo to nie uląkł się ani odpowiedzialności ani możliwego narzekania na niesprawiedliwość, że usuwa ludzi zasłużonych od dalszych czynności w zawodzie nauczycielskim. Pracując dla przyszłości, nie troszczył się o chwilowe niezadowolenie tych, których dotknie chociażby i boleśnie nowy porządek rzeczy. Chcąc bowiem cały plan reformy przeprowadzić we wszystkich szczegółach, nie mógł tego powierzać ludziom, którzy za nadto zrosli się z dawnym zwyczajem i trybem uczenia, by przy najlepszych nawet chęciach mogli od razu przejąć się obowiązkami, jakie na każdego z profesorów wkładał nowy kierunek wychowania publicznego. Kollataj przewidywał wprawdzie, że na miejsce dawniejszych nie zawsze znajdzie równie zdolnych, lecz wołał użyć siły świeżej, poddającej się łatwiej wskazanemu kierunkowi, niż parać się nieustannie z nawykniętymi, które mogły szkodliwie oddziaływać na całość planu naukowego. Jak zaś ile możliwości starał się dawnych profesorów zastąpić nowymi, tak był najprzeciwniejszy sprowadzaniu cudzoziemców na katedry, ponieważ dowodził słusznie, że cudzoziemiec chociażby nawet najzdolniejszy, lecz obcy krajowi mową i obyczajami, nigdy nie przywiąże się doń miłością synowską, a jak z interesu przyjmie katedrę, tak nie będzie pracował z taką gorliwością i poświęceniem, jakiej po krajowcach mniej wprawdzie zdolnych można się zawsze spodziewać. Chcąc zresztą, aby język ojczysty był wykładowym w akademii, nie mógł się już z tego powodu oświadczać za sprowadzaniem cudzoziemców na katedry wkuwające.

Przedkładając komisji edukacyjnej sprawozdanie z swych czynności dwuletnich wraz z prośbą o zatwierdzenie całego planu reformy akademii, przedłożył przytem i doskonale obmyślony projekt rządu szkolnego, którym objął wszystkie szczeble wychowania publicznego, poczynając od szkół początkowych czyli parafialnych a kończąc na uniwersytetach. Według projektu tego miały być pod zwierzchnim zarządem komisji edukacyjnej jako naczelnej władzy, kierującej całym wychowaniem publicznem w Rptej, trzy okręgi naukowe, reprezentowane w trzech uniwersytetach, t. j. małopolski, wielkopolski i litewski. Małopolska miała już uniwersytet w Krakowie, a Litwa w Wilnie, trzeci zaś miał powstać staraniem komisji w Poznaniu. Okręgiem naukowym zarządzała rada czyli senat akademicki złożony z rektora i wybranych z grona profesorskiego członków, który miał wydawać podwładnym szkołom swe polecenia a nad ich wykonaniem czuwać przez wysełanie swych wizytatorów. W każdym województwie miała być szkoła wyższa wojewódzka czyli wydzielona, a jej rektorowi podlegać szkoły powiatowe czyli podwydzielone, a tym znów szkoły początkowe czyli parafialne. Najważniejszą częścią całego projektu było postanowienie, że nikomu nie wolno wzbraniać przystępu do szkół, czem Kollataj chciał powoli zbliżyć do siebie wszystkie warstwy społeczeństwa.

Całą pracę Kollataja w trzech wielkich foliantach

zawartą polecił komisya edukacyjna zbadać Ignacemu Potockiemu, który o niej jak najpochlebniejsze wynurzył zdanie, czem też spowodował komisję do zatwierdzenia wszystkiego. W uznaniu zaś zasług położonych w zreformowaniu akademii nadano Kollatajowi tytuł pierwszego emeryta tejże, a pierwszym rektorem akademii zreformowanej został Antoni Żołędziowski, kanonik krakowski, mąż bardzo gorliwy o dobro jej i nauk.

IV.

Jak z jednej strony miał Kollataj w uznaniu swej gorliwości zachętę do dalszej pracy, tak musiał z drugiej równocześnie niemal doświadczyć skutków niechęci i zazdrości tych, którzy od dawna krzywym patrzyli okiem na jego wziętość i sławę. Nikt nie wchodził w rozbiór pytania, czy którykolwiek z bogato uposażonych w chleb duchowny lub w starostwa mógł w jakiejś przynajmniej części wykazać się takimi jak były przezeń podjęte dla dobra powszechnego prace, lecz wszyscy brali mu za złe, że pracując bezpłatnie na urzędzie wizytatora i zadłużwszy się z tego powodu, starał się równie innym i to drogami wówczas utartymi o zabezpieczenie sobie dochodów na życie wygodne i na wspieranie drugich. Nie myślę tu go bronić bynajmniej, ponieważ wołałbym, by i pod tym względem był się okazał wyższym nad ówczesne znakomitości w Polsce. Nie byłoby go to ochroniło zapewne od potwarzy, jak znana bezinteresowność i obojętność na wygody życia nie uwolniły Lelewela od pocisków ludzi stronnictw lub powodujących się złą wiarą, lecz przesławcy jego nie mogliby przynajmniej wskazywać z tryumfem na to jako na ujemne strony jego charakteru, aby potem w świat wmawiać, że interes własny górował u niego nad miłością ojczyzny!

Z powodu dzierzawy wsi Bienczyce, należącej do probostwa św. Floryana, wytoczono mu obrzydliwy proces w sądzie biskupim, na który sprowadzono mieszkającego od lat kilku zdala od spraw publicznych biskupa Sołtyka. Przeciwnicy Kollataja odnieśli najzupełniejsze zwycięstwo, ponieważ rozdrażniony przez nich Sołtyk skazał go na utratę wszystkich beneficjów duchownych i na więzienie, gdyby się pojawił w dyecezyi krakowskiej. Lecz tryumf ich nie był długotrwałym, ponieważ sam Sołtyk uniewinnił Kollataja, a jego oskarżycieli zhańbił w oczach publiczności, czem ich przywiódł do wezwania pomocy rady nieustającej, która osadziła Sołtyka jako obłąkanego w Kielcach. Sąd zaś prymasowski zniósł dawniejszy wyrok sądu biskupiego zapadły przeciw Kollatajowi i nakazał zupełne umorzenie tej sprawy. Lecz przez dwa lata musiał Kollataj ciężko doświadczać skutków nieprawości ludzkiej, co go jednakże nie odstraszyło od dalszej służby publicznej.

Zreformowana przezeń akademja nie mogła z powodu właśnie zejść tych w sądzie biskupim rozwijać się w kierunku nowym. Uczuli to wszyscy profesorowie, że do dokonania tak świetnie zaczętego dzieła potrzeba im na sternika koniecznie Kollataja, który najlepiej potrafi wszystko przywieść do ładu. W myśl więc jednozgodnej uchwały wysłali w kwietniu 1782 prośbę do komisji edukacyjnej, aby Kollataja umocowała do końca wizyty. Tej prośbie stało się zadość, a z końcem Czerwca stanął Kollataj znów w Krakowie, gdzie wspólnie z radą, złożoną z 8 profesorów akademii dalsze przedsięwziął prace. I te były najpomyślniejszym uwieńczone skutkiem, a wdzięczna akademja, dla której wizytator wyjednał u komisji edukacyjnej potrzebne na wszystkie wydatki fundusze, obrała go z końcem 1782 na trzy lata swym rektorem. Popierany ufnością całego grona nauczycielskiego rozwinął Kollataj na tem stanowisku zaszczytnem

najzbawienniejszą działalność. Trzyletnie rektorstwo jego było nie tylko akademii ale i całemu wychowaniu publicznemu nader użytecznem. Nie unosząc się nigdy zarozumiałością, że ktoś inny nie może w tem lub owem mieć więcej doświadczenia lub rozleglejszej wiadomości, zasięgał zwykle zdania drugich, a dając wszystkim w sobie wzór pracowitości najwytrwalszej, zachęcał ich tem samem do współzawodnictwa w tej mierze. Wszędzie też okazał się ład i porządek, a że każdy chciał najsumienniejszym wykonać, co mu poruczono, szło wszystko najpomysłniej. Mnożyły się wykłady, utworzono i opatrzone dostatecznym funduszem szpital publiczny u św. Łazarza, udoskonalono cały wydział lekarski i oddział kliniczny, i spowodowano radę nieustającą, by skłoniła miasta polskie do utrzymywania corocznie 150 uczniów poświę-

cających się zawodowi lekarskiemu, przez co chciano pomnożyć w kraju liczbę zdolnych lekarzy, na których mu dotąd zbywało. Założono przytem seminaryum, w którym kosztem publicznym mieli się kształcić przyszli nauczyciele szkół wydziałowych i podwydziałowych. Wszystko to powstało za jego rektorstwa, a najmowniejszym dowodem jego skutecznej działalności jest niezawodnie, że po jego ustąpieniu powstały zaraz w akademii nieporozumienia i spory szkodliwe całosci, którym umiał z nieporównaną czynnością zaradzać. Gdyby nie więcej nie był doskonały, prócz reformy akademii i wychowania publicznego, byłby już za to samo zasłużył na uznanie i wdzięczność narodu. (C. d. n.)

według Romancero Hiszpańskiego, z przekładu Herdera

WŁADYSŁAW HR. JARŃKOWSKI

C Y D
pod FERDYNANDEM WIELKIM.

(Ciąg dalszy.)

8.

Pięć królików maurytańskich
Rozpedziło zagon krwawy
Po Kastylii żyznych błoniach,
Krzyk i śmierć są ich orszakiem!
Tam od Burgos, Montez d'Oca,
Belforado, San Domingo
I Naraxa już zniszczone,
Wszystko stoi w opuszczeniu...
Pędzą Maury trzody owiec,
Pędzą ludzi, chrześcijan, dzieci,
Meże, żony, córki, synów;
A te płaczą, te pytają:
„Matko! kedyż tak pójdziemy?...“
W pysze zdobył już zbierają
Maury, w dom by wracać radzi,
I nikt nie śmie zająć im drogi,
Sam król nie śmie stawić czoła
W Biwar, na ustronnym zamku
Doszła smutna wieść Rodryga;
Nie miał jeszcze lat dwudziestu,
Ale mężem czuł się już!
Rumak co się zwał Babieca
Zarzął — już Cyd na nim pędzi,
Jako Bóg na gromkim wozie
Chmur — tak pędzi w dziki kraj...
Już objechał swych wasalów
I zgromadził wszystkich razem
W Montez d'Oca, sprawił szyki
Iść gotowe z wrogiem w tan...
Moemy Boże!.. noga Maura
Tam nie uszła z boju żywa.
Trzody owiec zrabowane,
Meże, żony, dzieci, sługi,
Wszystkie ciągną do swych gniazd,
Wolne, szczęsne. Pięciu królów
Maurytańskich, Don Rodrigo
Sze, królowi Don Fernando
Powiązanych — dumny Cyd!

Na tronie zasiadł Fernando
Swych poddanych słuchać skargi,
I tych karać, tych nagradzać —
Bo lud żaden bez nagrody
I bez kary tu nie żyje —
Gdy w żalobnej, długiej szacie

Z trzystu ludzi się orszakiem
Stawi Ximena przed tron.
Na najniższym stopniu tronu
Tam przyklekła w swej pokorze
Córa dumna hrabi Gormaz,
Tak rozwodzi skarg swych żal:
„Sześć miesięcy już minęło,
„Sześć miesięcy wielki król
„Odkąd z ręki młodzienszka
„Padł szlachetny ojciec mój!...
„Cztery razy u stóp waszych,
„Cztery razy wasz majestat
„Swem królewskim przyrzekł słowem
„Sprawiedliwość przyrzekł mi —
„Jeszcze jej nie doczekałam!
„I szyderczo, mnie, Wam, prawu,
„Krzywdom moim się uraga
„Don Rodrigo ten z Biwaru —
„A ty bronisz go o króla,
„Bo kto z twoich śmiałyby dworzan
„Mścić się nad nim, pierwby zląkł się
„Twój królewskiej zemsty sam?!
„Dobrzy króle są na ziemi
„Przypomnieniem Pana Boga,
„Żli, niewdzięczni wiernym sługom
„Sami nieca ogień wojny
„I nienawiść i przekleństwa
„Wywołują — w dniach rozpacz.
„Pomyśl o tem wielki król!
„I przebaczyć racz sierocie,
„Której skarga rozpaczliwa
„Już wyrzutek Ci się staje!...
„Coś wyrzekła, toć wybaczam,
„Rzekł Fernando, — „lecz Ximeno
„Dość słów twoich wysłuchałem,
„I dla Ciebie Don Rodriga
„Chcę zachować, i jak dzisiaj
„O śmierć jego, tak mnie jutro
„O pomyślność błagać będziesz!“

10.

Nigdy słuszniej rozgłos sławy
Nie brzmiał, jako Don Rodriga;
Bo pięć królów Maurytańskich,
Maurów z Morerei było
Jego męstwa pomnikami
A gdy ślubem i przysięgą
Wazalami ich uczynił

*

I do danin zobowiązał,
Wszystkich znów odesłał całych,
Do ojczyzny wielkomyślnie.
Gdy po długich siedmiu latach
(I lat sto by nie ustąpił!)
Król Fernando zdobył twierdę
Koimbre, co niezwalczona,
Mury, baszty najeżona
Padła wreszcie pod razami,
Matce bożej święcił kornie
Najwspanialszą w niej moszce...
Przed świątynią tą Rodrigo
Był na straży obojętnie,
Tu własnymi dłońmi król mu
Miecz przypasał, a królowa
Własną ręką do namiotu
Królewskiego go wprowadza;
A Infantka Don' Urraca

Złote sama mu ostrogi
Przytwardziła i tak mówi:
— „Matko! Matko! co za rycerz!
„Piękniejszego nie znam — nie!
„O, szczęśliwe gminne dziewczę,
„Co się może bez obawy
„Podług swego obyczaju
„Nim nacieszać godzinami!
„A szczęśliwsza jego żona
„Którę matka mu sędziwa
„Odda kiedyś, odda chętnie
„Najpiękniejszą, najlepszemu!...“
Tak mówiła króla córa,
Oczywiście nie ustami,
Lecz mówiła w cichem sercu,
Że aż pierś jej młotem biła...

(C. d. n.)

KALEJDOSKOP

obrazy czasów i ludzi
przez

BERLICZA SASA.

(Ciąg dalszy.)

Noc była ciemna. Na ogniskach obozu naszego kucharze gotowali wieczerzę. W namiotach gwarzyły poufne grona i brzęczały herbatnie przybory. Odwiedzano się wzajemnie z namiotu do namiotu. Grona dam i mężczyzn krążyły przy blasku ognisk pomiędzy linią powozów, furgonów, bryk i koni uwiązanych z torbami do długich żerdzi i do wozów. Tłum służby pokojowej i stajennej uwijał się stosownie do potrzeby chwili. Było tam i pocziwych wieśniaków nie mało, których przorniejsi dziadzi pociągali za sobą z transportem siana, owsa, piwa i prowizyi. Oryginalność tego obrazu nie miała sobie równej. Treść onego była pełną życia i różności.

O kroków dwadzieścia (mniej więcej) zaczynał się stan korpusu Sabaniejewa, którego prawe skrzydło zamykał pułk Azowski piechoty. ¹⁾ Wszyscy oficerowie tego pułku byli moi dobrzy znajomi, albowiem kwaterując dość długo w naszym majątku odwiedzali nas bardzo często.

Najpierwszą u krańców Stanu była rota ²⁾ porucznika Chotmińskiego. ³⁾ Skoro się u czerty obozowej ukazał, poznał mnie przy świetle ogniska, posadził obok siebie na trawie i szklaneczką niewykuintnego czaju ugościł. Nadeszło kilku starszych oficerów i rozlokowali się na ziemi u ogniska. Pomiędzy nimi było kilku takiej wybitnej ekscentryczności, że mi stoja dotąd przed oczyma. Podpułkownik Zacharewicz na przykład cóż to za komiczna figura! Długi jak żerdź i równie suchy, z nosem jak flinta, który przy każdej zmianie temperatury hermetycznie bawełną zatykał z obawy kataru! Ileż to razy naśmialiśmy się serdecznie ze strzępków co mu z nosa wisiały jako suplement do rudej i krzaczystej szczeciny wąsów bohatera! O pocziwości jego wiele mówiono, co do mnie tyle tylko rzecz mogę, że był *simplex servus Dei* i skoro gębę otworzył głupstwo z niej leciało. Rażnym kontrastem jego byli majorowie Dreszern ⁴⁾ i Białłozor. ⁵⁾ Pierwszy młody, przystojny i pełen salonowej ogłady. Drugi wysoki, lasko-

nogi, twarzą wyrazisty, przesiąkły szlachetnością i dowcipem. On był poufnym przyjacielem każdego domu, pożądanym gościem każdego towarzystwa, wcieleniem przyzwoitego komizmu i niejadowitej satyry; bo przyzwoitość mieściła się w jego naturze a serce pocziwie jadu nie zawierało.

Leżąc u ogniska Zacharewicz napaplawszy do woli, ni w pięć ni w dziewięć, zachrapał szczęśliwie. Chotmiński wpadł na tor służbowego dyalogu. Dreszern zagaił krytykę manewrów dnia tego, a Białłozor śmiał się ironicznie, patrząc na obóz obywatelski i mówił:

— Dziwni ludzie! Włóczą się za armią i czego? To nie militarizm owładnął nimi, ale szal dworszczyzny, któremu się w Polakach znaleźć nie spodziewałem. Ich rzeczą siedzieć w domu, pilnować grzedy, ulegać władzy, (bo inaczej być nie może!) lecz nie nadskakiwać jej, bo to do niczego nie prowadzi i.. nieszlachetnie!

— Przeciwnie! — odezwał się Chotmiński — to się może podobać cesarzowi i zjednać dla nich łaskę jego.

— Łaskę? — przerwał Białłozor — albo przystoi narodowi, co siebie szanuje ubiegać się o łaskę nieprzyjaciela?

— Nieprzyjaciela? — zawołałem zdziwiony — alboż cesarz jest naszym nieprzyjacielem?

Białłozor spojrzał znacząco na mnie i rzekł po chwili:

— Dwa są rodzaje nieprzyjaciół. Jeden groźny, co od razu napada i zabija. Drugi słodki, układny, co głaszcze, pieści, pochlebia, a zdradę w sercu knuje, jad w pocałunku zaszczepta. Pierwszy mniej niebezpieczny od drugiego. Otóż obrazem tego drugiego cesarz! Jedziecie na lep jego słodczy, spieszcie na lep jego uściśnienia. Ostrożnie! bo zatruje! ostrożnie! bo zadławi!

Nie mogłem pojąć przenośnego sensu tych słów, wyrzeczonych z pewnym rodzajem egzaltacji, jakiej nigdy dotąd w Białłozorze nie postrzegłem. Kiedym roztrząsał w sobie com słyszał, wpadł adiutant pułkowy, porucznik Rusanow, ^{*)} z nagłym rozkazem, żeby się

¹⁾ Dowódca tego pułku Rusanow ożenił się z Polką, piękną Zofią Szolajską.

²⁾ Kompania.

³⁾ Był później generałem dywizyi.

⁴⁾ Umarł niedawno, generałem dywizyi.

⁵⁾ Zginął w r. 1827 na wojnie z Perzją.

^{*)} Synowiec dowódcy pułku; zginął w r. 1828 przy szturmie Braiłowa.

bataliony podniosły natychmiast do marszu i nic z sobą nie brały krom broni i patrolaszków z ładunkami. Dwudziestu ludzi z każdego batalionu miało zostać dla podsyceń ognisk i zachowania pozorów ruchu w obozie. Najsrożej zabroniono było żołnierzom kaszlać, chrząkać, kichać głośno, rozmawiać, albowiem dowódca korpusu szło najwięcej o to, żeby nieprzyjaciół nie myślał, że oprócz rozjazdów i placówek wszyscy śpią w obozie.

W mgnieniu oka stanęły bataliony pod bronią na całej linii i ruszyły w milczeniu na wskazane punkta koncentracji. Artylerzyści poobwijali koła lawetów słomą i powiedli zaprzęgi w rękę do naznaczonej mety. Dywizja kawalerii, stojąca o werst parę dalej nie potrzebowała, ma się rozumieć, tylu ostrożności, bo gwar jej ruchu nie mógł dojść do nieprzyjaciela.

Wkrótce zrobiło się pusto w obozie, pusto na brzegu. Pozostali żołnierze zapalili swoje nosohrejki i usiedli kupkami przy swoich ogniskach, zwinawszy się w *szynel*.

Co do mnie przerażony byłem tem niespodzianem odejściem wojska. Idea spisku poruszyła trwożnie myśl moją. Wyobrażałem sobie, że to był już początek buntowniczych ruchów, że to była wstępna scena krwawego dramatu rewolucji i królobójstwa!

Żeby nie podówczas zbiorowe usposobienie żołnierza, nie trwożyłbym się tak dalece, albowiem pokazało się później, że ze strony żołnierza żadne cesarzowi nie groziło niebezpieczeństwo. Ale ja nie wiedziałem o tem i wiedzieć nie mogłem. Łatwo więc wyobrazić obawę moją, przerażenie, ba nawet wyrzut sumienia. Tajemnica, którą nosiłem w sobie, gryzła mnie wewnątrz, toczyła, jakby się chciała wyjawiać koniecznie na zewnątrz, wyrwać na swobodę.

Zbiegłem ze stromego brzegu ku rzece. Usiadłem na głazie. Poczerniałem usta wody. Pierś pałającą odkryłem nocnym powiewem. Spokojniejsze zrobiło się we mnie. Spojrzałem przed sobą. W cesarskim stanie cicho i głucho. U ognisk majaczą grona milczących cieni. Za to w pałacyku carskim ruch wielki. Wchodzą i wychodzą. Przy rzesistem oświeceniu ganku widno żołnierzy na straży. Bagnetki lśnią jak ostre promyki. Późno już, a cesarz nie śpi jeszcze. Wszyscy więc czuwają. Tem lepiej! pomyślałem. Ale dlaczego czuwają?

Nagle posłyszałem z tyłu nad sobą głosy wołające mnie po imieniu. Pobiegłem. Zostałem wielką niespokojnością. Nie wiedziałem gdzie się podziałem i wyobrażano sobie Bóg wie jakie okropności.

Wszyscy byli bardzo zajęci nagłym wystąpieniem w pole korpusu Sabaniejewa. H. Tyszkiewicz, W. Sarnecki i A. Błędowski, ludzie wojenni, nie widzieli w tem nic nadzwyczajnego.

— Zwyczajny manewr obchodowy — mówili.

Lecz p. M. Sarnecki, kręcił głową, jakby się czegoś niedobrego spodziewał. I uważałem, że nie był spokojny.

— Wietrzę coś takiego — mówił — co mi się nie podoba.

— Cóż naprzykład? — pytał marszałek hajsyński Wołodkowicz.

— Wyrazić nie mogę, ale że się coś gotuje złego w powietrzu, to pewna.

— Deszcz, grad, burza zapewne, bo coś innego? przerwał żartobliwie H. Tyszkiewicz.

— Deszcz nie deszcz, grad nie grad, ale za burzę nie ręczę. Może to ja burzę przeczuwam.

W niektórych namiotach było ciemno i cicho. Spali. W naszym i w sąsiednich nikt nie myślał o spoczynku, choć się niejedna powieka sennieścią kleiła. Jakieś przeczucie zdawało się ciężać na wszystkich. Co do mnie byłem trapiiony oczekiwaniem czegoś strasznego. Lada łoskot daleki, lada dźwięk wyrazistszy głosu ludzkiego, potrzasały mną febrycznie. Kobiety szczebiotały pomiędzy sobą. Mężczyźni o czymś rozprawiali. Palono fajki, rozrywano się wisieczkiem. Tak przebiegło godzin kilka.

Na wschodzie szarzyć zaczęło. Świt oswabadzał się z nocnej obsłony. Wtem usłyszeliśmy wielki tumult na przeciwnym brzegu. Nikt nie pozostał w namiotach. Wszyscy na brzeg wybiegli. Stan cesarski wrzał ruchem i gwarem. Żołnierze biegli do broni swojej w kozły ustawionej. Szykowały się pospiesznie bataliony, pułki, brygady, dywizye. Słowa komendy odzywały się na różne tony. Starszyzna związała się na koniach. Roje sztabowych i adjutantów rozstrzeliły się na wszystkie strony. Konie cesarskie u ganku, on siadł, świta siadła — polecieli.

Zagrzmiały bębny na całej linii. „Marsz!” zakomenderowano wojskom. Lecz nim ruszyły z miejsca, już były zaatakowane. Z frontu i z flanków szedł chmura nieprzyjaciół. Gęstymi salwy artylerii uderzał. Kolumnami piechoty naciskał. Kawaleria oskrzydlał. Parł gwałtownie z przodu, z lewej, z prawej strony. Broni się cesarz. Grzmia i jego baterie. I jego piechota trzyma się odpornie. I jego jazda nie próżnuje. Nadaremnie! Gdyby żelaznym obręczem ścisła nieprzyjaciół cesarskie zastępy. Rozwinać się im nie daje. Iść naprzód nie dopuszcza. Kotara dymów i ognia zawisła nad ziemią i nie już nam widać nie było, nic zgola. Gwar tylko chaotyczny, okrzyki, łoskoty, tętenty wstrząsały powietrze, a we mnie zamierało serce od przerażenia, albowiem pewny byłem, że spisek wybuchnął i że już rewolucja swe krwawe rozpoczęła dzieło!

Przecież nie było tak na szczęście! Całej tej komedii przyczyną było to, że Sabaniejew, człek samodzielny i wódz dbały o dobrą famę nie zechciał być pobitym *ex ordine* przez cesarza a wołał go sam pobić. Zamiast tedy czekać jego natarcia (jak było apriorycznie uchwalono w sztabie), machnął ręką na dworskie fawory, zrobił marsz obchodowy, przeprowadził się o kilka werst niżej przez Boh i uderzył zniemacka na nieprzyjaciela. Skutkiem tego manewru Sabaniejewa było to, że wygrał kompletnie batalię... za co mu zmyto porządnie głowę i odebrano korpus.

Że zmyto głowę — dopuszczam, bo wykroczył przeciw dyscyplinie. Lecz należało poprzestać na tem i nie usuwać od korpusu generała zasłużonego, którego militarne zdolności używały rozgłosnej famy w szeregach. Wszystkich zdziwiła wtedy ta zbyt surowość Aleksandra względem człowieka, któremu zwykł tyle okazywać względu. Co do mnie, nie dziwi się jej bynajmniej. Aleksander wiedział, czyli raczej domyślał się o istnieniu czegoś groźnego dlań w wojsku. Czuł się w niebezpieczeństwie; nie wiedział tylko o stopniu tego niebezpieczeństwa, ani też z kąd, kiedy i w jakiej się pojawi postaci? Czy buntem masalnym armii? czy pokuszeniem się jednostki na jego życie, trybem Damién'a, Jakóba Clément, lub Ravaillac'a? czyli wprost rewolucją pałacową, podobną tej, która go po stopniach krwi ojca zboczonych na tron rosyjski wprowadziła.

Takim sposobem nastrojony nie mógł on nie doznać wielkiego przerażenia, gdy Sabaniejew natarł nań niespodzianie na czele wszystkich sił swoich wbrew

wyraźnej instrukcyi, jaką z jego sztabu otrzymał. Była to rzeczywiście strasza dlań chwila, której zapomnieć ani też przebaczyć Sabaniejewu nie zdołał, bo mu na taki czyn nie wystarczyło szlachetności.

A jednak Sabaniejew był niechętny zbawcy cesarza tej nocy. Pokazało się później, że trzech pułkowników, Pestel, Awramow i jeszcze jeden, którego nazwiska nie pamiętam — mieli się przebrać za prostych żołnierzy, stanąć na warcie u sypialni cara i zakłócić go

w nocy bagnetami. Manewr Sabaniejewa przeszkodził temu ich zamiarowi. *) (C. d. n.)

*) W r. 1841 był w Chersonie gubernatorem generał Włodzimierz Pestel, młodszy brat konspiratora. Z powodu, że miałem wtedy jeszcze majątek w Chersonie, odwiedziłem Cherson i poznałem generała Pestela, a że był uprzejmym, ukształconym i nader miłym człowiekiem, łatwo się doń przywiązałem i tak, szczęśliwie, że nie bez wzajemności. Będąc za młodym w epoce istnienia spisku, nie mógł on, ma się rozumieć, być inicjowanym. Wiele mi jednak ciekawych rzeczy o spiskowycach opowiedział.

O poezyi XIX wieku w Polsce i we Francyi.

przez

WACŁAWA GASZTOWTA.

(Ciąg dalszy.)

Należałoby tu przytoczyć także sławną w „Rolli“ apostrofę do Voltaira:

Czy błogo szpiz, Wolterze! a śmiech twój ohydny
Czy po twych błędnych kościach dotąd przelatuje?

Ale dosyć przytoczeń; odsyłam was do poematu francuskiego, którego żaden przekład a tem bardziej bezrymowy nie może oddać siły i czystości. Jednak, mówiąc o Rolli, muszę jeszcze jeden ustęp podać, jako dowód głębokiego poczucia natury, cechującego poezję Musseta, równie jak Lamartina. Rolla, zrozpaczony, ma odebrać sobie życie; ale zanim truciznę wypije, raz jeszcze zagląda przez okno i woła:

„Królu świata, o słońce! Ziemia ci kochanka,
Snieżny brat twój przy boku usypia ją twoim.
O tyś wiecznej dla siebie zażądał młodości,
Abys piękność mógł w łono ziemi przelać wieczną!
O wy tam lekkim skrzydłem lecące jaskółki,
Powiedziecie mi, powiedziecie, skąd mi dzisiaj umrzeć?
Okropne samobójstwo!... O gdyby mieć skrzydła!...
W przezroczystym błękiecie chciałbym je rozwinąć!
Powiedziecie, ziemio, nieba — czemże jest jutrzeńka?...
Dla czegoż się świat stary z każdego dnia cieszy?
Powiedz zielona trawo; powiedz, ciemne morze,
Kiedy zorzą poranku rumieni się niebo,
Jeżeli wy martwemi, cóż w was jest takiego,
Co sercem wstrząsa naszem i gniew nam kolana?
O ziemio! z twojem słońcem, któż ciebie poswatał?
O czem twe nuca ptaki, nad czem rosa płacze?
Czemu z uczuć miłośnych dziś mi się spowiadasz?
Czegoż odemnie chcecie, już konającego?

Nie trzebaby jednak sądzić o drugim zbiorze poezyi Alf. de Musset z przytoczonych tu poważniejszych ustępów Rolli ani też z jego *Nocy*, które są może najpiękniejszymi a z pewnością najnamietniejszymi elegiami miłośnymi, które kiedy wyszły nie z pióra, ale z serca jakiegokolwiek bądź poety. Są i inne wprawdzie wiersze Musseta jako *Stances à la Malibran*, *Une bonne fortune*, *Sur la naissance du Comte de Paris*, *Souvenir*, *L'Espoir en Dieu*, które są prawdziwymi klejnotami poezyi lirycznej francuskiej tak pod względem uczucia i myśli jak pod względem formy, lubo rytm nie tak jest rozmaitym, jak w utworach Wiktora Hugo. Ale autor powieści hiszpańskich (*Contes d'Espagne*) i „Ody do księżycy“ zachował i w tym drugim okresie ową żyłkę satyryczną i humorystyczną i po części ową nie zawsze przyzwoitą rubasność, która była największą zaletą jego pierwszego zbioru. *Namonna*, *Mardoche*, *Dupont et Durand*, *Silvia*, *Simone*, są najpiękniejszymi płodami owej

niezrównanej fantazyi, która posługując się z kolei formą Bajrońską, Don Żuana, lub wierszem dawnych francuskich satyryków, była najwięcej wówczas podziwiana i stanowiła wziętość poety. Niektórzy, do których się liczę, uważają Musseta za najprawdziwszego, nie chcę mówić za największego poety francuskiego w naszym wieku. Sąd ten nie zadziwi tych, którzy zastanawiają się nad tem, że poezya powinna być przedewszystkiem objawem serca piszącego a zarówno objawem społeczeństwa wśród którego żyje piszący: a podwójnemu temu warunkowi w zupełności zadosyć uczynił Alfred de Musset. Dzieła jego prozą napisane, bądź to przysłowia dramatyczne, bądź krytyczne artykuły, bądź nareszcie większych i mniejszych rozmiarów powieści, a mianowicie: *la Confession d'un enfant du siècle* są uzupełnieniem jego poezyi. Kto je przeczyta, ten pozna i pokocha poetę, ganiąc go często ale z uśmiechem pobłażania i współczucia — a zarazem ten pozna i pokocha społeczeństwo francuskie, żałując jego wad i niedostatków, a nie mogąc się powstrzymać od pewnej sympatii dla tak zepsutego ale tak dowcipnego, tak szczerego, tak serdecznego w gruncie narodu. Niestety, Musset nie przyczynił się do naprawy tych wad i niedostatków, których był przedstawicielem i ofiarą, a sceptycyzm jego nie lepszym był od kosmopolitycznej doktryneryi innych poetów. O te dwa szkopyły miała się rozbić Francya. Czy krwawa nauka ostatnich lat wyda swoje owoce? Czy przykład Polski odradzającej się moralnie z upadku politycznego posłuży, póki czas jeszcze, Francyi coraz bardziej upadającej?

Na to pytanie przyszłość odpowie, bo dotąd oprócz „Strasznego roku“ Wiktora Hugo, który zresztą nie we wszystkim odpowiada zadaniu, jakiebymy zakreśliłi narodowemu poematowi, nic nie widzieliśmy we współczesnej literaturze, co by kazało się spodziewać zmiany na lepsze pod tym względem. My tymczasem, ciesząc się że chociażby współcześni i przyszli wierszopisowie nasi nie szli tą samą drogą, co ich poprzednicy, mamy już w poetach pierwszej połowy stulecia naszego skarb niewyczerpany zasobów moralnych, siły narodowej, uczucia patryotycznego, których żaden despotyzm, żadne nieszczęście, żadne pokusy nie zniszczą, przeciw którym samo piekło przeważyć nie będzie zdolne.

Nieraz już było powiedzianem, że po r. 1830, najwięksi poeci nasi, pod wpływem okoliczności, zmienili w części albo raczej zrozumieli lepiej stanowisko swoje, stali się wieszczami narodowymi. Określono wymownie odrębne to stanowisko; opisano wpływ niezmierny, jaki

wywierały dzieła wygnanych szczególnie poetów na usposobienia całego narodu; wykazano że całe życie narodu skupiło się prawie w poezji; że streszczenie historii Polski tych lat dwudziestu jest streszczeniem jej poezji w tym samym przeciągu czasu, z dołączeniem opowiadań najsroźszego prześladowania w kraju i sporów politycznych na emigracji. Nie potrzebujemy się nad tem rozwodzić. Każdy sam potrafi najlepiej osądzić całą różnicę zachodzącą między tą naszą poezją narodową a poezją humanitarną i postepową Francuzów, lubo tak jedna jak i druga miały wspólną cechę ujmowania żywotnych zadań i zstępywania na pole działania politycznego. Natomiast chcielibyśmy naznaczyć pojedyncze podobieństwa i wspólne oddziaływania jednej poezji na drugą, w tej epoce najserdeczniejszego braterstwa między dwoma narodami.

Już powiedzieliśmy że sprawa polska podczas powstania i na początku emigracji natchnęła prawie wszystkich francuskich poetów. Później jeszcze, gdy Mickiewicz ogłosił „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego“ (nie mówiąc o „Posłaniu do braci wygnańców“ Brodzińskiego, które nie było znanem przez Francuzów), dzieło to natchnęło Lamennego, owego kapłana rewolucyi, miłośnika ludzkości, który w sławnych *Paroles d'un Croquant* naśladował Mickiewiczowską formę i trzymał się jej wiernie w następujących dziełach poetyczno-politycznych. Ale o narodowości, o przeznaczeniu Francyi, o obowiązkach względem ojczyzny, o tem wszystkim co jest duszą księgi Mickiewicza, nie ma tu ani wzmianki. Walka ludu przeciw nieprzyjaźnym sobie kastom, wymowne wołanie o równość wszystkich ludzi wobec Boga, zastępują równie obszerny a daleko logiczniejszy i łatwiejszy do urzeczywistnienia ideał dążący do uszczęśliwienia ludzkości przez uszczęśliwienie narodu. Inni jeszcze znakomitsi pisarze tegoż okresu ulegali wpływowi Mickiewicza. Dosyć wspomnieć o pani Georges Sand, która z podziwieniem rozbiierała jego *Dziady* i o panu Michelet, który jako kolega Mickiewicza w kolegium francuskim znał go osobiście i uchylał przed nim czoło z należytem uwielbieniem. Cóż dopiero mówić o hr. Montalembert, który sam przetłumaczył „Księgi narodu i pielgrzymstwa“, i od tego czasu stał się tak niezmor-

dowanym, tak wymownym, tak natchnionym obrońcą sprawy polskiej, że jego niektóre broszury i mowy o Polsce razem z pismem J. J. Rousseau o Rządzie polskim, chętnie bym nazwał dziełami jakiego wieszczu narodowego polskiego?

O wpływie Mickiewicza na umysły francuskiej publiczności, podczas jego kursów, bądź przed Towianizmem, bądź po Towianizmie, byłoby wiele do powiedzenia, ale nie wchodzi to w obręb naszego przedmiotu. Tam zaś Mickiewicz nikogo z francuskich poetów nie naśladował, a w tym okresie uwolnił się najzupełniej nawet od przypomnień Byrona i Göthego: dosięgnął szczytu rozwoju własnego geniuszu poetycznego i działalności twórczej w poemacie litewskim. Nie dziwie się temu że po „Panu Tadeuszu“, poeta zamilkł, bo po takim arcydziele, nie mógł już wznieść się wyżej.

Ale wtenczas właśnie, obok ciągle śpiewających i coraz bardziej poważniejących Bohdana Zaleskiego i Seweryna Gaszczyńskiego, ukazali się nowi poeci. Nie mówiąc o młodo zmarłym, a zanadto przecenionym przez przyjaźń Adama Stefana Garczyńskiego, Juliusz Słowacki wśród powszechnej obojętności lub niechęci, Zygmunt Krasiński — bezimienny i nie od razu także zrozumiany, dodali poezji polskiej wdzięku i ducha, podnieśli ją do sfer nie wszystkim narodom przystępnych, idealnych, tajemniczych, mistycznych, do których unosiła obu wyobraźnia niezrównanej potęgi, nieznanego dotąd polotu.

Poezja od r. 1834 uosabia się we Francyi w Alfredzie de Musset, w Polsce zaś w tych obu wódzach, których ani chwilowe nieporozumienia ani stronnice wielbicieli ich dzisiejszych uprzedzenia, rozdzielić nie są w stanie. Słowacki był prorokiem, kiedy chciał tę ich nierozdzielność wyrazić w pięknym mycie o dwóch braciach Lelum i Polelum. Byli różnego usposobienia, różnych może w danej chwili dążności, ale te dwie bratnie dusze miały więcej między sobą styczności jak różnicy... *quodis decet esse sororum*. Chociaż Juliusz nazwał raz nie bez dumnej pogardy Zygmunta szlachcicem, a marzył że „za nim pójdzie lud“, my dziś odpowiadamy mu wierszem Zygmunta „z szlachta polską polski lud“, a widzimy w ich połączonych postaciach dwulicowy posąg całej i nierozdzielnej ojczyzny.

(C. d. n.)

O przywilejach i ceremoniach

w świecie dyplomatycznym,

napisał

dr. GUSTAW ROSZKOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Drugim wpływem exterytoryalności posłów jest t. z. prawo kaplicy, t. j. przywilej wykonywania swego kultu religijnego ze współudziałem duchownego i sług kościelnych, nawet gdy religia posła jest w państwie zakazaną. Poseł więc może sobie urządzać w swym domu mieszkalnym kaplicę, utrzymywać właściwego duchownego i gdy dawniej do tej kaplicy dozwolonym był tylko wstęp dla rodziny posła i jego współziomków, dzisiaj nawet poddani państwa, w którym misya jest sprawowana, mają wstęp dozwolony wbrew żądaniu Kaltenborna. Wyjątek stanowi tylko Rzym, w którym katolikom nie wolno jest odwiedzać protestanckiej kaplicy poselstwa pruskiego. Wszakże zarówno kaplica jak i odbywanie w niej nabożeństwa niczem na zewnątrz odzna-

czać się wybitnie nie powinny i dlatego zabronionem jest użycie dzwonów i urządzenie procesyi.

Ponieważ poseł w czasie sprawowania misyi, będąc na obcym terytorium uważa się za przebywającego w swoim państwie, przeto nie może on podlegać sądom obcego państwa i na tem polega jeden z najważniejszych przywilejów posła: wyjęcie z pod cywilnej i karnej jurysdykcyi i sądów państwa, w którym przebywa jako poseł. Skargi cywilne przeciwko posłowi powinny być załatwione w drodze dyplomatycznej, przez odniesienie się do władz sądowych państwa, którego poseł jest poddany. W razie popełnienia przestępstwa przez posła może mu być udzielonem napomnienie, dwór przy którym jest uwierzytelnionym może żądać jego odwołania

a nawet może być aresztowanym, gdy dopełnia knował dla jednostek lub państwa groźących. Niektóre dwory odmawiają posłowi pasportu aż do zaspokojenia długów cywilnych. Tak uczynił w r. 1772 rząd francuzki względem Barona v. Wrech ministra Hessen-Casselskiego. W roku zaś 1668 dwór holenderski w areszcie osadził pewnego posła za długi. Również w r. 1708 ambasador rosyjski Matincow został z tejże samej przyczyny uwięziony w Londynie, a w roku 1765 z inicjatywy posła d' Eon de Beaumont wytoczony został proces przeciwko posłowi hr. de Guerchy obwinionemu o otrucie.

Posłowie dyplomatyczni dawniej posiadali zupełny przywilej wykonywania cywilnej i karnej jurysdykcji nad swoim orszakiem. Dziś jednakże przywilej ten został o tyle przynajmniej ograniczony, iż posłowie wykonują wstępne tylko procesowe czynności, legalizują akta, poświadczają umowy, mają dyscyplinarną władzę nad orszakiem, w Turcyi zaś i w państwach zaeuropejskich mają posłowie pierwszej i drugiej klasy zupełną jurysdykcję sądową nie tylko nad orszakiem ale i nad współżiomkami przebywającymi, ponieważ prawa miejscowe nie odpowiadają pojęciom cywilizowanych narodów, a nadto ponieważ władze miejscowe nie dają rękojmi bezstronności sądu z powodu nienawiści do Europejczyków.

W końcu z tytułu zakrajowości posłowie dyplomatyczni nie ponoszą wielu ciężarów i opłat, które obciążają miejscowych. I tak dom posła nie daje kwatery wojskowej, rzeczy jego nie opłacają cła itp.

Prócz tych przywilejów członków dyplomatycznego ciała, ambasadorowie jako reprezentujący osobę swego panującego mają prawo:

I. urządzania baldachimu w swej sali jako wyobrażenia tronu;

II. nakrycia głowy w obec panującego przy prezentacji na pierwszej audyencji i po przybyciu na obcy dwór;

III. jeżdżenia w sześć koni i odbierania honorów wojskowych;

IV. odbierania pierwszej wizyty od ciała dyplomatycznego;

V. odbycia uroczystego wjazdu i uzyskania uroczystej audyencji, tudzież otoczenia się strażą wojskową.

VI. Małżonka ambasadora ma t. z. prawo taboretu, t. j. zajęcia miejsca w obec cesarzowej i królowej kiedy ta usiedzie. Legaci i nuncjusze długi bardzo czas mieli przywileje upoważniające ich nawet do zwoływania konciliiów i przewodniczenia im, zatwierdzania biskupów, rozdzielania urzędów kościelnych. Gdy zaś posłem był kardynał, przywileje jego sięgały jeszcze dalej. Już od

czasów reformacji zaczęły te przywileje być coraz szerszymi, a w r. 1785 w cesarstwie niemieckim zniesionymi zostały zupełnie.

Przywileje te służą posłowi ze względu na jego misję dyplomatyczną a nie z powodu jego rodowego, majątkowego stanowiska, tudzież wykonywane są tylko na miejscu misji, w całym zaś obcym państwie używają bezpieczeństwa osobistego i pewnych honorów.

Ponieważ usposobienie człowieka, jego myśli, uczucie i skłonność wewnętrzna objawiają się tylko za pomocą pewnych form i zewnętrznych objawów, przeto w ogóle w stosunkach ludzkich wyrobiły się pewne towarzyskie formy, mające wyrażać wzajemne usposobienia, przyjaźń, szacunek lub obojętność. Formy te są naturalnym wpływem wewnętrznego stanu ludzi, którzy ze sobą obcuje, dlatego istniały one zawsze i wszędzie we wszystkich społecznych zakresach, w towarzystwach, w kościele, w państwie i na dworach. O ile formy te mają na celu okazanie uszanowania i przyjaźni lub oddanie czci i honoru, stanowią zakres ceremonii. W stosunkach politycznych, na dworach i w dyplomacji z konieczności musiały się ceremonie wyrobić, bo one właśnie mają posłużyć do okazania sobie wzajemnie przez państwa dobrych stosunków i uszanowania. Ceremoniał polityczny, zwany także etykietą, istnieje w dwóch głównie formach: jako ceremoniał dworski i międzynarodowy, według tego czy ogarnia formy używane przy pewnych okolicznościach na dworach lub w zewnętrznych stosunkach państw. Nie ma w dzisiejszych czasach ustawy, któraby przepisywała szczegóły politycznego ceremoniału, bo chociaż na kongresie wiedeńskim wyraźnie zastrzeżono, iż każde państwo wyda odpowiednie dla swego dworu rozporządzenia, to jednak do dziś dnia pomimo upływu lat z góry pięćdziesięciu nie w tej mierze nie uczyniono. Jednakowoż ceremonie te wyrobiły się drogą zwyczaju i od niepamiętnych czasów państwa europejskie częstokroć z pedantyczną, niekiedy nawet do śmieszności posuniętą drobiazgowością przestrzegały ich zachowania. Przesada naturalnie, jak we wszystkim, tak i w tem jest nieodpowiednią, ale jeżeli ceremonie, zwłaszcza w międzynarodowych i dyplomatycznych stosunkach mają być zewnętrznym, zmysłowym wyrazem uszanowania państwa i jego reprezentantów, to zachowanie pewnych, że tak powiem, istotnych ceremonii, będących naturalnym objawem uznania godności państw, jest koniecznym i słusznym, a dobrowolne, umyślne ich nieposzanowanie musi być uważanem za zniewagę z zamiarem wyrządzoną państwu.

(C. d. n.)

Z „WIECZORNICH PIĘŚNI“

WITOSŁAWA KALKA

Gdyby tak naraz tę ziemię biedną

Los ze wszystkiego odarł zwodniczy

I tylko miłość zostawił jedną,

Nie czułbym życia goryczy.

Gdyby w treść życia prawdę położył,

A miłość sennem chciał mieć złudzeniem,

Jabym się cicho do snu ułożył,

Nie tęskniąc za przebudzeniem

A jeśli dotąd tak mi przytomne

Te sny, co w myślach moich się wiły,

O! luba moja! czyż ja zapomnę,

Czyje mię oczy uspiły?

Władysław Belza.

P R O M Y K I.

(Zasady krytyki lwowskiej. — Kobiety i Dr. Alfred Zgórski. — Teatr i p. Dobrzański. — Zasiłgi i braki Zarządu. — Akademia umiejętności w Krakowie. — Dr. Antoni Małacki).

Lwów, zwykle obojętny na sprawy zasadnicze nauki, mimowolnie oddał się w biegu ostatnich czasów ożywionej dyskusji nad pewną kwestją o zakroju ściśle naukowym; szkoda tylko, że, jak u nas wszystko, przeniesiono rzecz od razu z pola przedmiotowej teorii na pole osobistości i skandalu. Któż z nas nie patrzy z pewnem zatrwożeniem na szalone i wyziębiające postępy pozytywizmu w Warszawie, które krusząc gmach wielu żywotnych dla ojczyzny pojęć, mogą odsunąć pewną warstwę narodu od baczenia na wysoki cel narodowej pracy? Ale ktoś razem nie zachwyci się tym żywym ruchem, tem bezpośredniem zainteresowaniem się całego społeczeństwa sprawą nauki, która stać się może sprawą życia?... Tam jest uznanie, że jakiś prąd naukowy powstał, że nie można go obojętnie pominać i obejść, ale go przyjąć lub zetrzeć bronią przedmiotowej dyskusji należy. Jeżeli wszędzie jest wiele kropel osobistej gorczy w warszawskim „Przeglądzie tygodniowym“, to jest tam i wiele rzeczy branych na seryo, ze stanowiska czystej nauki. U nas natomiast sprawa i wartość wygłoszonej zasady jednoczy się zawsze ze znaczeniem i wartością głoszącego ją prozelity. Gdy on nie dorósł do wartości zasady, już i ona sama nie ma wartości. Tem zaś gorzej, że u nas nie dostrzedz zupełnie krytyki naukowej, któraby z punktu widzenia nauki zasadę ożeniła. Są tylko niedzielni kronikarze dzienników, którzy swym humorystycznym żargonem myśl wyszydzą i — myśl z kretesem wobec publiczności zaprzepaszczona!.. Są oni dziś jedynymi krytykami miasta. A ktoś by i żądał zasadniczej krytyki od tych, którzy z zawodu swego muszą przechodzić po wierzchu każdej sprawy, bo inaczej staliby się okliwymi. Na Niedzielę publiczności dawać nie można nauki, tylko dowcip... W każdej zaś sprawie najpoważniejszej da się dopatrzeć od biedy jakąś stronę humorystyczną, bogdaj przez dowcipne przekreślenie.

Dla przykładu tylko wspominam o tej kwestyi, która nas zajmowała przez dwa miesiące, a która już w godzinę po jej podniesieniu była dla sumiennej nauki straconą, skoro poszła na języki bardziej złośliwych, niż sumiennych dowcipnisiów. Kwestya emancypacji kobiety jest dziś najbardziej zasadniczą kwestją... Ale nim ona zostanie rozwiązana w sensie społecznym, musiała pierw swoje słowo dorzucić psychologia.. Od jej to wyroku zależyć musi, czy kobieta może być w całej sferze życia równouprawniona z mężczyzną czy nie? Otóż sumienne uprawiana psychologia zaprzeczyła temu stanowczo, twierdząc, że ustrój psychiczny kobiety jest odmiennym od ustroju mężczyzny, że kobieta uległa jest bardziej wpływowi świata zmysłów, że ma w sobie mniej oryginalnej woli, mniej zasobu myślowego, mniej siły odporu w obec zewnętrznych wpływów, mniej przedmiotowego poglądu na rzeczy, że przeto kobieta skazana jest na powstrzymanie się od pewnych społecznych pretensyi... Jeżeli za granicą najczcigodniejsi myśliciele szeroko opisali tę sprawę psychicznych różnic i wskazali kobiecie właściwy jej a tak sympatyczny zakres, to wywołało uznanie, może trochę żalu u kobiet, że tak jest, ale nie lekkomyślne dąsanie się, nie osobistą obrazę. Gdy u nas Dr. Zgórski z wielkim zasobem cywilnej odwagi nie powiedział w tej sprawie nic więcej nad to, co za granicą stało się pewnikiem naukowym, gdy owszem w jedno-

dzinnym odczucie zebrał wyniki najsumienniejszych badań niemieckich uczonych i zawarł w nim szereg wybornych a praktyką życia ciągle stwierdzanych spostrzeżeń, to podniósł się nań krzyk większy, jak ów biblijny na „Ebal i Garizim gorze“. A nie był to krzyk w imię żadnej idei naukowej, przeczącej z poważnego stanowiska zdaniom młodego profesora, nie była krytyka, ale porwanie za parę słów wyrzeczonych bez taktu, za parę spostrzeżeń głęboko uzasadnionych, ale wymagających trochę nauki, aby im zaprzeczyć, a nie tylko ambicji, aby je zagłuszyć... Nikt nie żądał od kobiet przeprowadzenia procesu z psychologią w ręku, ale nie było dowodem, że u nas istnieje sumienna krytyka, gdy w kilku pobieżnych feuilletonach ryczałtowo wyszydzone odczyt, który jeżeli ma jaką wadę, to tę, że nie powiedział żadnej prawdy oryginalnej, za którą odpowiedzialność ciężałaby oświście na Dr. Zgórskim, ale powtórzył naukowe pewniki...

Inną sprawą powszechnego w tych czasach interesu było powstanie nowej dyrekcyi teatru. I tu wytworzył się pogląd na rzeczy zmacony, przenoszący wagę kwestyi z pola zasadniczego na pole osobiste. Ze był strike prawie powszechny w pierwszych czasach nowej epoki teatralnej, to pewna; że zmowa się rozprzegła, to zwycięstwo słusznej prawdy... Na rzecz całą można tylko wtedy patrzeć bezstronnie i przedmiotowo, gdy się nie patrzy za kulisę, ale na scenę. Publiczności nawet prawem i obowiązkiem jest — patrzeć wyłącznie na scenę i sąd o rezultatach artystycznych, a nie o zatargach w łonie dyrekcyi. Jest wielka gorczy w licznych kołach (i to ma być przyczyną abstencji!), że głównym teatru kierownikiem jest p. Dobrzański! Nie rozumię, co mi to może przeskadzać w podziwianiu gry dobrego artysty i w słuchaniu dobrej sztuki, że za kulisą stoi p. Dobrzański, skoro nie wyszedł dotąd na scenę. Dopiero od tej chwili mogłaby jego osobistość, jako artysty, uleść krytyce, ale skoro teatr jest dobrym, skoro repertoarz jest wyborowym a grono artystów licznem i w pierwszorzędne bogatym talenta, skoro bywanie w teatrze może być miłym, użyciem i źródłem pięknych wrażeń, to co mi się wtrącać w labirynt kwestyi, czy p. Dobrzański, który postawił na nogi obecny teatr, ma w tem swoje osobiste cele czy nie?... Nie mam pojęcia o przedsiębiorstwie, któreby obok publicznych nie miało i prywatnych celów; skoro jednak te ostatnie nie są w sprzeczności z pierwszymi, pomijam je obojętnie. Zdaje mi się że powiedziałem tu słowo bezstronne.

Braki jednak w nowym zarządzie sceny, są dotąd wielkie. Nie widzę wybitnego kierunku estetyczno-literackiego w układzie repertoarzu, któryby wyrażał pewien zasadniczy pogląd na sztukę, któryby uznawał pewne jej prądy za uzasadnione, inne za błędne, któryby rozpatrzył się we własnej literaturze dramatycznej i wydostał za przepaszczone jej klejnoty z zapomnienia, któryby miał zwrócone oko na ruch sceniczny Zachodu i rozpoczął gruntowną pracę około przyswojenia nam wszystkiego coby mogło repertoarz odrodzić i natchnąć wyższem duchem; nie widzę więc zwrotu ani ku terażniejszości, ani ku przeszłości, a czy nie byłoby godnem wielkiej sceny przedsięwziąć np. systematyczne wprowadzanie na scenę całego (o ile to być może!) Szekspira, Moliere, trochę z Moreta i Kalderona, z Lessinga i Göthego, z Wiktora Hugo i Legouvégo, z Hebbła i Halma?... Za wszystkich nie starczy Sardou i Dumas!.. Gdyby nawet rozpisywać

konkursy na wzorowe tłumaczenia obcych arcydzieł, nie widziałbym w tem dziwactwa, ale wyższą dążność literacką, ale na przyszłość zasługę Dyrekcyi nie tylko wobec sceny, ale i wobec literatury... Ze dotychczasowy kierunek był raczej błądzeniem po omacku i nie wyraził jeszcze żadnej myśli estetycznej, zapewne uniewinnić należy tem, iż czas do zorientowania się był za krótkim a pierwsze chwile porodu za ciężkimi, aby się bawić w dalekie programy.

Akademia umiejętności w Krakowie dokonaniem wyboru 12stn pierwszych akademików weszła w pierwszy okres swego rozwoju, ale jakim będzie dalszy, jest rzeczą mglistą i problematyczną. Z poza mgły ossyanicznej, jaką się otacza wezysko, co jest krakowskiem, wychylają się tylko od czasu do czasu wieści, nie powiedziałbym — pocieszające. W ogóle nie wiemy czemu tak nad miarę przedłużać okres wstępny, czemu nie mianować nowych członków z poza Krakowa, którzyby dopiero nadali Akademii charakter ogólnopolski, narodowy, a nie wyłącznie miejscowy?.. Wybór nie trudny. Grono uczonych krakowskich, zasługujących na wybór do Akademii już prawie wyczerpanym, czemuż co prędzej nie powołać do tej wysokiej instytucji ludzi, jak Libelt, Cieszkowski, Małecki, Duchński, Szmitt, Kraszewski?.. Jak długo ich

tam nie ma, nie ma jeszcze Akademii... Tem bardziej, że ludzie złośliwi opowiadają dziwne rzeczy o projektach krakowskich, o zamiarach powołania osób, których miejsce jest wszędzie indziej, ale nie w akademii umiejętności... Sądźmy, że aby mieć prawo wstępu do niej potrzeba albo okazać zasługi położone dla nauki i literatury, albo wielką cześć dla niej.. A czy wszyscy projektowani odpowiadają tym warunkom?.. Wątpimy... Mówi przysłowie że *nomina sunt odiosa*, a te, o których mowa, tem bardziej.

W roku bieżącym rozpoczął prof. Dr. Antoni Małecki na wszechnicy lwowskiej odczyty: „o literaturze języka starosłowiańskiego.“ Pomysł zgrupowania w jedną całość niepotraconych dotąd zabytków pismenniczych z owej doby, gdy Słowiańszczyzna miała jeszcze charakter jednoplemienny, jest świetnym i nowym, a sposób w jaki się wielki uczony wywiązuje z założonej tezy, znakomitym. Pomysły Dr. M. o początku Słowian, lingwistycznej genezie wyrazów: Wend, Słowianin, Serb i t. d. uderzają bystrością i są powołane do stworzenia nowej epoki w poglądach na tę powiklaną sprawę. Nie wolno nam odstawiać tych misteryi naukowych które Dr. M. pomieści zapewne w Iszym tomie swych: „Dziejów literatury“, pragniemy tylko naznaczyć fakt bardzo ważny.

Miro.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

(„Księżna Jerzowa.“ — „Marya Stuart.“)

„A jednak i ja byłam we Ferney!“

A jednak mimo wskazówek i ostrzeżeń nie oszczędzono nam widoku najnowszego *piece* Aleks. Dumasa syna: „Księżna Jerzowa“ (*Princesse Georges*). Nie pojme nigdy potrzeby przyswajania naszej scenie takich utworów. Teatr ma albo cel moralny, cywilizacyjny, albo, jak inni sądzą, li tylko estetyczny.

Nie powtórzę treści „Księżnej“, bo nie pragnę szerzyć zgorzienia, ale dowiodę tylko, że w żadnym z powyżej wskazanych wypadków przedstawienie jej na polskiej scenie nie ma słusznej przyczyny. Aleksander Dumas ma szeroki dar wypatrywania pewnych niedogodności życia, wskazywania na jęczące się rany, przedstawiania ich w upajających połyskiem barw kształtach i niewypowiadania ostatniego słowa w poruszonej materii. Wszystkim jego prawie sztukom przy świetnej budowie braknie uzasadnionego zakończenia, któreby w nas zrodziło pewność, że sprawę należało poruszyć, i któreby nam dało wierzyć, że Dumas jest twórcą myślącym, zdolnym rozwiązywać poważnie i skutecznie kwestye piekące społeczeństwa. Ale tak nie jest... Dumas jest wybornym analitykiem, nie umie podać moralnej syntezy, która by w sobie mieściła płodną wskazówkę życia. Po jego sztuce zawsze potrzeba się zapytać: „Więc cóż?.. Jaki środek poprawy jest dobrym?..“ Poeta się nie troszczył o wynik moralny, chociaż pozuje na reformatora obyczajowego... W „Księżnej Jerzowej“ przedstawia najszlachetniejszą żonę, wiedzącą, że mąż ją haniebnie zdradza i — przebaczącą... W jednej scenie woła z goryczą księżna de Birac w ten mniej więcej sposób: „kiedy zburzono cały gmach mojej istoty, kiedy mię wtrącono w najczarniejszą przepaść rozpacz, jakież mi daje lekarstwo prawo?.. separacyę, jakie rodzina?.. politykanie!“ A więc podnosi tu broń poeta przeciw bezwładności prawa i rodziny w tym wypadku, gdy kochająca do szalu żona uczuwa się zdradzoną.. Problem świetny, gdyby go tylko można rozwiązać?.. Dumas czyni to w ten

sposób, że spieszącego na schadzke miłośną męża powstrzymuje żona, wiedząc, że udanie się na nią przeprawi go o śmierć, bo za kotarą łoża Sylwanii de Terremonde stoi jej małżonek z rewolwerem w ręku.. I oto ma być silniejsza obrona przed zdradą, jak ta, które dotychczas dawało zdradzonej prawo i rodzina. Ale czyż w tem jest lekarstwo na rozjątrzoną ranę?.. Czyż doprawdy mężowie będą zacniejszymi, gdy każda żona pójdzie śladem Seweryny de Birac i mężowi przebaczy, uratuje od śmierci? Dumas tu mojem zdaniem przedstawił apoteozę szlachetnej kobiecości, ale nie wskazał środka na uleczenie rany... Rozwiązał problem psychologicznie, ale nie społecznie... Żadnej płodnej i ogólnej myśli nie ma w takim obrazie, w takim zakończeniu.. Środek, jaki znajduje prawo jest doprawdy daleko praktyczniejszym, bo rozdziela natury nie dla siebie stworzone; środek, jaki znajduje rodzina, liczy się bardziej z kruchą naturą kobiety, bo wie, że nie każda być może heroiną... Ale bo też i wiarołomność mężów nie jest kwestyą, w którejby się mogło mieszać społeczeństwo; w zacisze rodziny nie mogą sięgać jego instytucye, rodzina powinna w swem własnym łonie czerpać tyle umoralnienia, tyle szlachetności, tyle wysokiego poglądu na sprawę dobrego obyczaj, aby się nie działy obopólne wiarołomstwa. Społeczeństwo dozorować powinno, aby rodzina była tak moralną, iżby w niej zdrady nie popełniono; kiedy ta raz jest faktem, rzecz już nie należy do społeczeństwa... A tak zacząć bronić, jak przebaczenie, nie należy wojować w tak lekkomyślnym kraju, jak Francya.. Jeżeli każdy książę de Birac będzie z góry upewnionym, że w swojej żonie znajdzie księżną Jerzową, cała Francya stanie się budurem miłości... A rodzina, cóż rodzina, za którą wielkomyślnie kruszy kopie p. Dumas?.. Ubolewania godnym jest los, jaki wskazuje każdej prawej i prawnej żonie... Dowiodłem jak myślę, że księżna Jerzowa nawet dla Francyi, gdzie zdrada małżonków jest nawykieniem i potrzebą życia, jest niepotrzebną, rzekłbym nieprodukcyjną; a cóż dopiero u nas, gdzie kobiety doszukują

się muszą dopiero w słowniku rozpusty, słowa: wiarołomstwo? Czyż potrzeba aż ze sceny wykladać jego teorie, wskazywać wszystkie jego subtelności, wszystkie manowce takiego położenia? Sztuka się tak zaczyna: Rozalia opowiada swej pani, że jej mąż, książę de Birac, spędził noc w Rouen, zajechawszy do jednego hotelu z panią de Terremonde... „Ale przynajmniej wzięli dwa pokoje?” pyta z drzeniem księżna... „Nie Pani! jeden!... Księżna nic nie odpowiada, lecz mdleje... Oto jest punkt wyjścia intrygi, oto jest watek tej szlachetnej sztuki, która każde wyobrażnię młodej kobiety pobudzić musi do rozmyślań. Ależ w tym dramacie każdy frazes wytworny, delikatny, spowity w bukiet wyrazów na pozór skromnych jak lilia, jest zabójczym, jest rozprężeniem wszystkich węzłów moralnych... Jeżeli więc „teatr ma cel moralny i cywilizacyjny”, jak na początku powiedziałem, księżna Jerzowa nie powinna w nim się ukazać.

A jeżeli teatr ma „li tylko cel estetyczny?...“ To wtedy w obec idealnego zadania poezji taka sztuka jest zbrodnią... Z dziedzin, gdzie rosną najpiękniejsze kwiaty myśli i uczuć, uprzytywać potrzeba brudny namuł, bo inaczej spragnione ideału umysły nie będą miały jednego zakątka cichego a wzniosłego, gdzieby po mętnych trudach życia mogły się orzeźwić i rozmarzyć pod słońcem bożego piękna... Istota poezji wykluczyła raz na zawsze ze swej pracowni idealnej ten materiał, z jakiego zbudowana jest „Księżna Jerzowa.“ Streszczając się powiadam raz jeszcze, że taka sztuka jest w obec naszych stosunków niepotrzebną, w obec moralności wstrętnej, a w obec poezji jej zaprzeczeniem. Ze jednak napisana jest świetnie, że artyzm w opracowaniu całego pomysłu i dialog podniósł Dumas do wyżyny udoskonalenia, to pewna...

Pani Modrzejewska (Seweryna de Birac), występująca tego wieczora (d. 2 b. m.) w pierwszej roli gościnnej zrozumiała to dobrze, że biedna księżna, jakkolwiek wtrącona w sytuację dla niej zabójczą i wysoce dramatyczną, umieszczoną jest jednak na tle świata, który nie zwykł oddawać się całkowicie pewnym wzruszeniom, ale najgłębsze nawet boleści uczuwa tylko połowicznie, w granicach wyższego tonu; odegrała więc swą rolę z wykwintem i pełnem artystycznego taktu umiarkowaniem. Uczucia i namietności było tam w samą miarę, nie były to owe wzruszenia tragiczne, o wielkiej grozie i niszczącej sile, jakich dostarczają postaci np. Szekspira, ale jakkolwiek ujęte ramami salonowego konwencyonalizmu, miały w sobie tyle wewnętrznego ożywienia, tyle energicznego uczucia i prawdziwej dramatyczności, ile wymagał obraz kobiety silnej, w objawach uczucia pełnej słodyczy, a w porывach namietnych hamowanej względami towarzyskości. Tak się grać powinny dramatyczne postacie nowoczesnej komedii; potrzeba tu delikatności rysów, i unikania zbyt tragicznego nastroju, bo życie postradało tę siłę, w jakiej się objawiać zwykła natura pierwotna. Inne postacie są w sztuce Dumasa nazbyt pobieżnie kreślone i zaledwie epizodycznie w całość akcji wplatane. Pewien zakrój charakterystyczny ma tylko matka Seweryny, pani de Périgny, dochodząca w swej apatii do idyotyzmu, który to wyraz bardzo umiejętnie odtworzyła pani Aszpergerowa. Na wszelkie uznanie zasłużyły panie Szymańska (Sylwania) i German (Walentyna de Baudremont), jakoteż pp. Woleński (książę de Birac) i Konarski (Galanson).

We Środę (d. 5 b. m.) wystąpiła pani Modrzejewska po raz drugi w 5-aktowej tragedii Jul. Słowackiego: „Marya Stuart.“ Osypany ten brylantami słowa utwór wydał się niby świątynią pogody, prawdziwem *templum serenum* po „Księżnej Jerzowej.“ Postać Maryi Stuart, jak ją nakreślił Słowacki, zwykli są krytycy nazywać

charakterem niejednolitym i mozaikowym... Zarzucają poecie dlatego brak dojrzałego wnikięcia w tajemnice psychicznego życia... Nie wiem czemu ta postać przecież wydaje mi się jasną i konsekwentnie przeprowadzoną, a myślę, że i pani Modrzejewska to przyznaje, skoro go tak prawdziwie i konsekwentnie przewiodła manowcami tych wszystkich urojonych sprzeczności... Chodzi krytykom o to, że Marya Stuart, w dwóch ostatnich aktach będąca kobietą na wskrós zbrodniczą, nie łączy się logicznie z Maryą Stuart trzech pierwszych aktów, pierwowzorem słodyczy i tklivosti. Otóż sędzę, że tak nie jest, a gra pani M., będącej tu prawie filozofką, nietylko poetką, uprawnia mnie tem bardziej do mego zdania. Zasadniczym tonem tej postaci jest płochosć, złączona z kapryśną wyobraźnią i uspioną, ale potężną namietnością... A płochosć z wychowania lekkiego i pozorów tylko się czepiającego pochodząca, bywa bardzo dobrą, bardzo psychologicznie uzasadnioną rodzicielką zbrodni... W naturze Maryi Stuart jest zachwycająca słodycz, która wiezi przy niej serce nawet takiego dziecka, jak paż marzący o różach z jej łona, ale jest i lekkość obyczajowa, przyniesiona z miękkiego dworu francuzkiego, ale co więcej, jest głębokie poczucie swej siły, jako królowej i jako kobiety, która w swych popędach nie lubi i nie może się hamować. Czy taka kobieta silna i namietna, mimo słodkich odcieni w duszy, poddana jeszcze demonicznemu wpływowi ponurego Bothvela, nie może być w IV akcie zbrodniarką?... Tem bardziej, że i Słowacki mający delikatny instynkt poetyczny przy całej mglistości swej fantazyi, nie każe jej być bezpośrednio występłą; wszakże ona dokonuje zbrodni ręką Bothvela, nie własną, bo tego nie wie, że w puharze daje mężowi truciznę a nie usypiający napój... Są wady olbrzymie w kompozycji dramatu, jak to np., że punktem wyjścia całego powikłania jest zabójstwo Rizzia, figury obojętnej dla Maryi, a nie jakiś motyw wzięty z jej stosunku do ukochanego Bothvela, ale postać samej królowej, zwłaszcza w przedstawieniu pani M. ma wszelkie znamiona prawdy. Mistrzowską była też ta gra, uwytatniająca siłę i słodycz Maryi, trochę może tylko za lekko wyrażająca jej nieokielznaną namietność. Scena, gdy Bothvel występuje z jej piersi straszliwe polecenie, aby zabił Darnleya, jak i cały akt V przeniosły nas na wyżyny sztuki. Jeżeli samo zjawisko takiej Maryi na scenie jest najczystsza poezja, to gra p. M. cieniująca tak rozumnie każdy wyraz każdy ton duszy, jest szczytną filozofią.

P. Ładnowski (Bothvel) po mniej udanym Ferdynandzie w „Intrydze i miłości“, przyjął znowu tą rolę zwolenników swego talentu. Przeszedł wraz z przeblyskami niestrawionego jeszcze ognia, tak długo, jak nie miał jasnego celu życia pod sobą, a potem czarna demoniczność, pastwiąca się nad słabą ofiarą, ambicja, nie ta szlachetna patrząca w słońce, ale pracująca w głębi duszy, zawstydzona własną postacią a przecież niezłomna, wyrażoną była w grze p. Ł. szerokimi i potężnymi rysami. Panna Deryng (Paż) wygłosiła balladę o Edwardzie z wytwornem pojęciem, rozumnem stopniowaniem i głębokiem uczuciem. Dodawszy, że p. Baranowski (Douglas) przełał siłę prawdziwie rycerską w niektóre ustępy swej roli, a p. Woleński był dobrym Rizziem, przejdziemy do stron ujemnych przedstawienia. P. Królikowski (Henryk Darnley) nie grał bezwładnego idyoty, w którego ustach porывy zemsty stają się parodią rzeczywistego zapалу, (bo Darnley ma kruchość natury Hamleta w sobie bez jego szlachetności), ale raczej jakiegos *Raubrittera* z romansu, od którego co chwila mamy prawo oczekiwać czynu, a tu czyn nie następuje. W roli tej potrzeba być słabym, patetycznym w wybu-

chach i łagodzącym się co chwila niedołężnością własnej natury. P. K. szafował patosem nie oryginalnym, przybranym dla tej roli, ale tym sobie od dawna właściwym a psującym stale każdą prawdę jego gry w dramacie. Scenę jednak IV aktu, gdy się pasuje z widmem Rizzia, oddał w kilku miejscach wcale pięknie. P. Kwieciński (Nick) przedstawił nam rzetelnego marzyciela, a nie saty-

ryka w błazeńskie dzwonki ubranego i panującego nad sytuacją swym humorem, pełnym politowania nad królem, ale nie rzewności. Że w IV akcie konający Nick ma chwilę sentymentalnych rozpamiętywań, nie należy już od początku nadawać mu ton liryczny.

Bronisław Zawadzki.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

D. 4. b. m. zakończył życie w Warszawie tknięty apopleksją **Stanisław Moniuszko**, twórca narodowej opery polskiej. Ur. w gubernii Mińskiej r. 1819, od najmłodszych lat objawił tak żywą skłonność ku muzyce, że rodzice postanowili w tym kierunku go kształcić. Wysłany w r. 1837 do Berlina, uczył się tam pod Rungenhagenem harmonii i kontrpunktu. W r. 1840 osiadł w Wilnie i począł składać pierwsze swe piosenki, tak uroczę prostotą i rzewną młodością. Muzyka do wiersza Mickiewicza „Niepewność” uczyniła młodego kompozytora znanym w całej Litwie i nadbrzańskich prowincjach. W r. 1846 przybył do Warszawy i wystawił tu pierwszą swą operę „Loteryja.” W czasie krótkiego w stolicy pobytu zapoznał się z Włodzimierzem Wolskim, który mu wręczył dwuaktowe libretto opery „Halka”. Z szybkością błyskawiczną skomponował Moniuszko operę, która go uczyniła sławnym i drogim całej Polsce. Wręczywszy partitury Dyrekcji teatru powrócił do Wilna. W roku 1849 wystawił w Petersburgu kantatę: „Milda” (słowa J. J. Kraszewskiego), która w r. 1859 z równym powodzeniem wykonana była także i w Warszawie. W roku 1857 zapadła tu decyzja, aby wreszcie przedstawić spoczywającą w archiwach „Halkę”; kompozytor zjechał do stolicy, poprawił i rozszerzył partiturę w cztery akta, i tak wyposażoną nowymi melodiami a mianowicie arya: „Szumia jodły na gór szczyty” przedstawiono „Halkę” po raz pierwszy d. 1. stycznia 1858. Po niej następowały ciągle nowe utwory, które zawierając wielkie bogactwo pięknych myśli i szlachetnego stylu nie dorównały jednak tantemu arcydziełu swojskiej muzyki. Wymienimy tu: „Hrabinę”, „Elisa”, „Ideał”, „Betty”, „Cyganek”, „Straszny dwór”, „Paryż” i ostatnia „Beate”. Prócz tego wydał kilka ulubionych „Śpiewników domowych”, parę mszy i litanii do N. Panny Ostrobramskiej, nareszcie wspaniały poemat muzyczny do słów Adama Mickiewicza: „Widma”.

Cześć jego pamięci!

LITERATURA i ESTETYKA. P. *Eucyan Malinowski* przygotowuje do druku „Modlitwy króla Wacława” zabytek polszczyzny z XV wieku, wykryty niedawno przez śp. hr. Alex. Przeździeckiego. Praca p. M. wyjdzie w Rocznicach Towarzystwa przyj. nauk. w Poznaniu.

— *Pilat Roman Dr. O literaturze politycznej Sejmu czteroletniego* (1788—1792). Kraków. Druk Paszkowskiego 1872. Podamy rozbiór.

— *Vischer Fr. Der Krieg und die Künste*. Stuttgart. Julius Weize 1872. W bardzo zajmujący sposób wykazano tu, jak wiele żywiołu dostarczyła od najdawniejszych czasów wojna poezji i sztuce pięknej.

— *Vilmor A. F. C. Die Genieperiode*. Marburg. Elvert 1872. Znakomity historyk niemieckiej literatury, który wielkie położył zasługi około naukowego zbadania epoki Goethego, pomieścił na niewielu kartkach wiele rysów i uwag, rzucających trafne światło na rozwój wewnętrzny tego poety, jakoteż na charakter całej literatury ówczesnej.

— *Sainte Beuve C. A. Souvenirs et indiscretions publiques par son dernier secrétaire*. Paris. Levy 1872. Zawierają wiele ciekawych szczegółów biograficznych z życia domowego i rodzinnego St. Beuve’a, przytem drobne rozprawki naukowe, jak: *Philosophie et socialisme*.

HISTORIA. *Dzieduszycki M. hr. Kościół katedralny lwowski obrządku łacińskiego*. Z wizerunkiem katedry i jej pla-

nem, tudzież kaplicy ogrojecowej. Lwów, nakładem X. Hołyńskiego 1872.

— *Gumplowicz Dr. L. Konfederacya Barska. Korespondencya między Stanisławem Augustem a Ksawerym Branickim łowczym koronnym w r. 1768*. Kraków, nakład „Kraju” 1872. Poprzedza wstępny rzut oka na ostatnie lata epoki przedrozbiorowej.

— *Dumont Albert. L’administration et la propagande prussienne en Alsace*. Paris. Didier 1872.

POWIEŚCI. *Zacharyasiewicz Jan. Noc królewska*, powieść z ostatnich lat panowania Stanisława Augusta. Lwów. F. H. Richter. 1872.

— *Orzeszkowa Eliza. Pan Graba*, powieść w trzech częściach. Tom I. Pająk i muchy. Tom II. Muchy w pajęczynie. Lwów, Bibl. rom. i pow. 1872.

— *Czajkowski Michał. Bulgarya*, powieść sławiańska. Lipsk. Bibl. pis. pol. Brockhauza Tom LX. 1872.

— *Jeż T. T. Siostrzane dusze*, powieść. Warszawa. Nakład Koleców. 1872.

— *Turgiemu Iwan. Die Novellen (König Lear der Steppen. Der Fatalist. Der Oberst.) Aus dem Russischen*. Wien. Hartleben. 1872.

PEDAGOGIA. *Schröder Carl. Die gewerbliche Fortbildungsschule in ihrer Nothwendigkeit, zweckmässigen Organisation und gedeihlichen Wirksamkeit*. Berlin. Stubenrauch 1872. Uwagi wskazujące na potrzebę umysłowego podniesienia stanu rekodzielniczego, pełne rad praktycznych i gruntownie przemysłanych.

— *Zuczkiewicz Antoni. Szkolnictwo na podstawie historycznego rozwoju i zasad wychowania*. Lwów. Gubrynowicz i Schmidt 1872.

TEATR. Teatr krakowski zakończywszy d. 3. b. m. „Piękną Helenę” sezon letni w Krakowie, wyjechał na 6 tygodni do Poznania i tam rozpoczął d. 6 b. m. przedstawienia fragmentem Mickiewicza „Konfederacyi Barskiej.” — W Lublinie utworzył się stały teatr pod dyrekcją utalentowanego komedyopisarza p. Z. Sarnackiego i artysty *Texla*. — W teatrze nadwornym wiedeńskim przedstawiono d. 24 z. m. z powodzeniem nowy dramat historyczny Murada Effendi (Franc. Wernera) „*Selim III.*” — *Teodor Barrière* napisał nową 4-aktową komedję: „*Alie*.” — *Wiktoria Joncières*, uczony i wymowny krytyk francuski napisał operę „*Dymitr*”; słowa podług dramatu Szylera dorobili pp. *Carvalho* i *Henryk Bornier*. — *Verdi* zachęcony niezmiernym powodzeniem „*Aidy*” pisze dla teatru medyolańskiego „la Scala” nową operę: „*Nero*.” Słowa dorobił p. *Arrigo Boito*. — *Karol Gounod* napisał muzykę do dramatu lirycznego *Ernesta Legouvè*: „*Dwie królowe*.” Partytura ma zawierać ustepy czarującej piękności, szczególnie chór kobiet błagających o chrzest dzieci. — *Max Bruch* w Berlinie skomponował nową operę: „*Hermione*,” które w tych dniach z wielkim szczęściem przedstawiono w Berlinie i Bremie.

— PP. *Cegliński i Matuszkiewicz* wydali: „*Album widoków i okolic miasta Warszawy, rysowane i litografowane z natury*.”

Od redakcyi. *Świt* umieszcza inseraty w osobnym półlarkusowym dodatku. Przyjmują takowe: we Lwowie Agencya *Czasu* p. Alex. Piątkowskiego, w Krakowie Agencya *Świt* w księgarni p. J. Wilda, we Wiedniu p. A. Oppelik Wollzeile, 22 i pp. Haasenstein & Vogler, Neumarkt 11, w Paryżu Wny pułkownik W. Raczkowski Rue du Pont de Lodi nr. 1.

Oplata: za wiersz drobny (*petit*) 6 ct., oraz należytość stemplowa po 30 ct. za każdorazowe ogłoszenie.